



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET

Prenumerata w Warszawie:
 We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
 po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
 kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
 Ekspedycyja główna w księgarni wydawcy
 Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
 kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
 wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
 W W. Ks. Poznańskim: u Leitgera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
 sgr. 20.

Dwaj myśliciele francuzcy

Z XVIII WIEKU.

(Dalszy ciąg, ob. Nr 28).

Siedziba w Ferney była rezydencją mocarza wieku. Przybywali do niej ciekawi ujrzeć człowieka, którego myśli po całej Europie krążyły, a imię, z nienawiścią lub miłością wymawiane, dostąpiło rozgłosu, jakiego nikt może nie zaznał nietylko w XVIII w. ale aż do dni dzisiejszych; śpieszyli też do niej i nieszczęśliwi, którym Voltaire piórem swoim i stosunkami mógł w nieszczęściu dopomóc. Urządzony wystawnie dwór, z etykietą, która, podnosząc wspaniałość osoby, chroniła ją zarazem od nadmiernego natręctwa, niejedną znakomitość w murach swych oglądał; a na drodze korespondencji pan tego dworu obcował ciągle z panującymi, ministrami i uczonymi świata. Tak tedy, niebędąc panującym, Voltaire rzeczywiście panował — panował nad opinią Europy; książki nie mieli tej władzy, tej powagi, tego uroku, jaki posiadał *Filozof z Ferney*. Nazwano go uszczypliwie *monarchą filozofii*. Nazwa ta dobrze oddaje rzeczywistość: był Voltaire w istocie monarchą w świecie tych dążeń i pojęć, które naokoło siebie wypromienił, a w opinię je publiczną wraziwszy, z niej miał później rzeczywistość dla siebie potęgę, siłę zbrojną do prowadzenia walki z przesądem, fanatyzmem i przemocą. Czcze są zupełnie deklamacye, jakoby właśnie przemoc miała w nim poplecznika; kto to utrzymuje, ten widać nigdy nie czytał pism Voltaire'a, ten nie zna jego działalności i powtarza tylko to, co mu nianki jeszcze mówiły. Straszyc Voltaire'm łatwo; trudniej go zrozumieć: tłumaczy

nam to nienawiść, jakiej myśliciel ten doznaje jeszcze w kołach ludzi niby-swiątych, życie i zadanie człowieka zbiorowego na ziemi pojmujących. Prawdą jest, że Voltaire był pochlebcą, że utrzymywanie dobrych stosunków z wielkimi tego świata za kardynalny warunek swej działalności myślicielskiej uważał, że z łask ich, już nie dla filozofii, ale dla osoby swej, korzystać lubiał; ale fałszem jest jakoby, czy to małym, czy wielkim, przekonania swoje sprzedawał. Pisma jego występują tu na jego obronę i dowodzą, że ten osławiony Voltaire nie miał ust przepołowionych przez obłudę nagiego egoizmu: nie odwoływał jedną połową tego, co wypowiedział drugą. Przekonania jego były niezmiennymi: w pochlebstwach przejawiał się tylko styl ujmujący; nie było zaparcia się wiary umysłowej. Zresztą, chcąc zrozumieć te stosunki Voltaire'a, o które tutaj potrącamy, potrzeba wprzód zrozumieć cały wiek jego. W najświetlejszych, najniepodleglejszych umysłach ówczesnych, nie przebłyskiwała jeszcze bynajmniej myśl, żeby cokolwiek dobrego stać się mogło bez woli i udziału istniejących potęg. Ideałem myślicieli ówczesnych nie było weale ani dzisiejsze państwo na ustawie oparte, ani tem mniej rzeczpospolita, jaka istnieje dzisiaj we Francyi. W marzeniach swoich wzbijali się ci ludzie do takiego tylko stanu, w którymby na tronach zasiadały jednostki światłe, wrogie nadużyciom, a przyjazne oświacie i postępowi. *Fiat lux, libertas erit*, co Voltaire w jednym z pism swoich obszerniej wywiódł—było hasłem ludzi ówczesnych. Światło stanowiło dla nich główny czynnik postępu, główny cel, do którego dążyli: światło też szerzyć się starali, a Voltaire stał na czele tych, po ludzku ułomnych, ale i po ludzku upornych, bo niezawsze odważnych, bojowników. Poza nieprzejrzanym lasem przywilejów i nadużyć społecznych ukrywały się przed oczami ludzi ówczesnych te właśnie stosunki, które po rewolucyi francuzkiej przez pół wieku głównie zajmowały ludzką. Chciano poprawić porządek społeczny;

nie sięgano tak daleko, aby porządek wyższy jeszcze, ponad nim stojący, wzruszyć. Walkę z nadużyciami, które społeczeństwo samo w sobie utrzymywało—uważano za wystarczającą dla postępu. Było to może złudzenie, ale złudzenie powszechne: ulegał mu też i Voltaire. Nie zobowiązywało go ono wprawdzie do pochlebstwa, które zawsze jest wstrętne; ale je tłómaczy i nawet usprawiedliwia, o ile w niem pobudki wolne od egoistycznej pożądliwości znajduje. Ilekroć Voltaire występował jako myśliciel, nie jako człowiek—cheiwy lub ambitny,—to widzimy w nim umysł pragnący prąd postępu wywołać u szczytów, by z tamąd zeszedł na dół, w odmet społeczny. Ideały państwowe w epoce Voltaire'a leżały jeszcze w uśpieniu; pierwszy je dopiero Rousseau poruszył. — Kiedy więc autor *Essai sur les moeurs* wita dzień wstąpienia Fryderyka Pruskiego jako „dzień najpiękniejszy w swem życiu“, czyni to zupełnie szczerze, spodziewa się bowiem, że wygnaniec Rheinberski wiele rzeczy w porządku społecznym swego kraju naprawi. Kiedy w *Panegiryku Ludwika XV* stawia tego niedołęgę na wysokich szczytach, ma nadzieję, że go dla sprawy ulepszeń społecznych zjedna. Voltaire był kosmopolitą; widział tylko wszędzie jedną ludzką, jedną ciemnotę, jedną przemoc: jedną więc miał miarę na wszystkie narody. Nie czuł ani uprawnienia, ani świętości bytów osobnych — pod tym względem był on zupełnym kaleką. Nie znał innych narodów prócz swojego, a dyplomacya obalamowała opinię Europy kłamliwymi opowieściami o tem, co się to robi w kraju dla postępu. Przyłączały się do tego pozory szerczenia oświaty, zaprowadzania towarzystw uczonych, popierania nauk i sztuk—co wszystko, razem wzięte, wprowadzało w błąd i ujmowało niezbyt głębokich i niedość przezornych myślicieli. Brak organów opinii publicznej, brak komunikacyi i związków międzynarodowych utrudniał, a nieraz całkiem tamował, poznanie prawdy. Ludzie lepsi od Voltaire'a ulegali temu co i on złudzeniu i równie jak on po-

chwały głosili. *Poznać wszystko* nie jest to *przebaczyć wszystko*, lecz tylko *wszystko zrozumieć*. Voltaire'a i wiek jego — zrozumie się, gdy się i człowieka i czas pozna. Niejeden jego list pochlebstwem przejęty służył tylko za kleszcze do wyciągnięcia ze szkatuły monarszej złotych rulonów, które szły na zasilenie potrzebujących i wsparcie biednych. Osada zegarmistrzowska w Ferney pochlebny listom Voltaire'a zawdzięczała nieraz zbyt swych wyrobów.

Ale zostawiliśmy Voltaire'a w Ferney. Zarówno tu jak i „Aux Delices“ w stosunkach z panującymi i ministrami niezawsze występował tylko *bel esprit*; odgrywał też Voltaire i rolę polityczną, co prawda niefortunnie. Dziwactwem było występowanie na teatrze; manią już chorobliwą w 60-letnim starcu nazwać można wtrącanie się do polityki. Podczas wojny siedmioletniej, w chwili najważniejszej dla Francji, bo pomiędzy bitwą Kollinską a Rosbachską, Voltaire na skutek listu margrabiny Bayreuth, siostry Fryderyka, myślącego już o odjęciu sobie życia trucizną, wystąpił z pośrednictwem pokojowym, do którego użył dawnego ministra, kardynała Tencin w Lugdunie. Stosunki z Fryderykiem, listowne były już wtedy nanowo zawiązane, dziwnie jednak zmienne, pozbawione wszelkiej choćby tylko uprzejmości szczerzej, istotnej. Voltaire nie mógł zapomnieć Fryderykowi Frankfurtu; Fryderyk Voltaire'owi pamiętał owo *pranie bielizny*, jakkolwiek wysoko czcić nie przestawał jego umysłu i nawet w epoce największego rozdrażnienia uznawał jego wielkość. Pośrednictwo owo na nie się nie zdało. Podobny los spotkał późniejsze kroki, w których za narzędzie Voltaire'owi służył jeden z najzyczliwszych mu panów Francji, książę Richelieu. Około r. 1760 wreszcie wystąpił Voltaire poraz trzeci z myślą pojednania: tym razem już i innych i siebie na niebezpieczeństwo naraził i jeżeli osobiście wielkich przykrości nie doznał, zawdzięczał to jedynie stosunkom z Choiseulem i stanowisku, jakie zajmował nie tylko w narodzie swoim, ale i w Europie.

Cała ta dyplomatyczna kampania, trzykrotnie ponawiana, miała za podstawę nie tylko próżność, istotnie bardzo silną w filozofie fernejskim, ale także i bezinteresowną chęć położenia kresu wojnie, której Voltaire z zasady nienawidził. Nie czuł on przytem całej niewłaściwości roli podejmowanej po bitwie Kollinskiej, gdy jako Francuz proponował Francji pokój w interesie Pruss, pod Kollinem zmiądzonych. Lecz taki już był jego sposób myślenia: nie znajdujemy w nim miejsca na patriotyzm. Ta enota obcą była zupełnie Voltaire'owi. Dzisiejsi wsteczniczy francuzcy, a na ich czele biskup Dupanloup, dopuszczają się stroniczej niesprawiedliwości, mniając filozofa fernejskiego sprzymierzeńcem wrogów Francji; prawdą jest jednak, że nie należy on do rzędu patriotów francuzkich i nigdy do nich, przez największych nawet przyjaciół, zaliczany nie był. Powtarzamy, że Voltaire był kosmopolitą; cała istota jego umysłowości jest kosmopolityczną; to mu też zapewniło tak ogromną wziętość u innych narodów. Wszelako podczas wojny z Anglią o Kanadę wskazywał rządowi swemu najlepszy sposób zyskania środków do walki — nie usłuchano go. Kanada byłaby może w każdym razie straconą; ale zbliżająca się rewolucja, zastawszy lepszy rozdział bogactw w społeczeństwie, byłaby nieco z gwałtowności swej utraciła. Dla pełni wspomnieć tu wypadki o udziale Voltaire'a w urzeczywistnionej za Ludwika XV wyprawie irlandzkiej, której myśl nie opuszczała Francuzów od Ludwika XIV do Hoche'a i Napoleona. W tej wyprawie Voltaire był czemś w rodzaju kommissarza królewskiego; z pod jego pióra wyszedł manifest do Irlandczyków.

W rezydencji fernejskiej Voltaire podjął i przeprowadził głośną sprawę Calasa. Jeżeli w tym wypadku sprawiedliwość przywróciła cześć przynajmniej, gdy nie mogła już przywrócić życia, wiele do tego przyczynił się Voltaire przez usilne starania i nieustanne kołatanie do króla, ministrów i sądów. Tu już nieprzyjaciele nawet nie mogą mu odmówić bezinteresowności. Voltaire sam pisał skargi, układał podania, przeprowadzał korespondencję, pieniędzmi przytem młodego, zbiegłego doń, Calasa zasilając; trzeba czytać jego ówczesne listy, aby poznać jak gorąco się zajął losem

nieszczęśliwych. „Uśmiech każdy za grzech sobie miałem“ pisał po szczęśliwym ukończeniu sprawy rehabilitacyjnej, która się przez trzy lata ciągnęła. Opieka Voltaire'a nad Calasami uczyniła go popularnym w całej Francji — tam oczywiście tylko, gdzie fanatyzm nie zacierał uczuć człowieczych. Kiedy Voltaire nakrótko przed śmiercią do Paryża zjechał, lud pokazywał go sobie jako *zbawcę Calasów*. Zaprawdę, mniejszą to przyjemność sprawiać musiało Dantemu gdy go w Weronie lud nazywał człowiekiem co wrócił z piekieł; pamięć dobrych uczynków trwała jest niż pamięć dzieł genialnych. Inną, podobną do sprawy Calasa, była w owym czasie sprawa Sirvena, podobnie w południowej Francji i podobnie przez ślepotę wyznaniową wywołana. Voltaire wystąpił tu znowu jako opiekun prześladowanych, obrońca i rzecznik prawdy i prawa. Zajął go też haniebna sprawa Dela Barre'a i d'Etallonde'a, dwójka dzieci na śmierć skazanych przez sąd w Pikardyi, za mniemaną obrazę obrządków religijnych. Dla pierwszego nie już zrobić nie mógł, bo go już ręka kata pod ziemię była wtłoczyła, ale, dowiedziawszy się po wielu latach, iż d'Etallonde ukrywa się w armii pruskiej jako prosty szeregowiec, wyjednał mu u Fryderyka awans i pensję. Do tego samego zakresu dodatniej, dobroczynnej działalności, przypadającej na lata 1760 — 1770 należy sprawa kobiety Montbailli z Saint-Omer w Artois, oraz proces rehabilitacyjny generała Lally, rozstrzelanego niesprawiedliwie w roku 1766, blizkiego znajomego i współdziałacza Voltaire'a z owej wyprawy irlandzkiej; po dwunastu latach zbiegów, już na łożu śmierci, otrzymał filozof fernejski wiadomość o oczyszczeniu pamięci uczciwego człowieka.

Na takich działaniach publicznych, na przyjęciach i zabawach, na nieprzerwanie aż do samej śmierci trwającej pracy, upływały Voltaire'owi dni i lata pobytu w Ferney. Na ten ostatni dwudziestoletni okres życia, przypada wykończenie najznakomitszego ze wszystkich dzieł piśmienniczych Voltaire'a, dzieła, które samo jedno mogłoby mu zjednać sławę w literaturze powszechnej: *Essai sur les moeurs et l'esprit des nations*. Wydał on je w roku 1763, ale aż do skonu przez lat 15 ciągle jeszcze uzupełniał i poprawiał. Było to dzieło zupełnie nowe w literaturze świata. Obejmuje ono historję obyczajów i wiedzy ludzkości od początku wieków średnich, z wyłączeniem prawie zupełnym ludów sławiańskich i poprzedzone jest ogólnymi uwagami nad początkiem narodów. Myśl autora zwraca się w niem głównie ku wyobrażeniom religijnym, przedstawia ich wcielanie się w społeczności ludzkie, przetwarzanie i zamieranie. W historii obyczajów zawiera się i historia wojen i fanatyzmu, w historii wyobrażeń religijnych jest rys dziejów kościoła rzymskiego. Bogactwo nagromadzonych faktów, przy umiejętnem, do wyciągania wniosków rozumowych dobrze nadającym się, ich zestawieniu — czyni to dzieło dziś jeszcze szanownem i zniewala do uznania w autorze umysłu wyższego, niepospolitego, prawdziwie historyczofizyczną obdarzonego zdolnością. Błędy codo faktów są tu bardzo nieliczne i nie odbierają wartości całokształtowi dzieła; polemizność, o ile piszący naturę swą okiełzać zdołał, odsadzona od władzy nad piórem; sprawiedliwość względem przeciwników dochowywana (św. Dominik pod Beziers); wogóle, dzieło, które zaszczyt twórcy swemu przynosząc, dziś jeszcze z pożytkiem odczytane być może, chociaż literatura powszechna od czasów Voltaire'a w zakresie historii cywilizacji i kultury tyle nowych a niepoślednich dzieł zyskała. W Ferney ogłosił Voltaire *Historję parlamentu paryzkiego* i sławny swój *Examen important*, za który go głównie kościoły chrześcijańskie do dziś dnia ścigają; on sam nie miał odwagi wydać tej krytyki ostrej, straszliwej, pod własnym imieniem i podsztył się pod nazwisko Bolingbroke'a, którego jakoby rękopismo odnalazł. Do tej samej epoki należy *Le Siècle de Louis XV*, praca mniejszej wartości niż historia Ludwika XIV; zastąpiła ona dawniej napisany panegiryk przedostatniego króla Francji burbońskiej, o którym wspomniano wyżej. W tymże czasie również wyszły *Questions de Zapata*, dalej *Traktat o tolerancji*, pod wrażeniem spraw Calasa i Sirvena skreślony, i mnóstwo drobnych opracowań, które bądź do *Questions à des amateurs etc.*, *Dictionnaire*

philosophique, lub *Facéties*, bądź też do wydawanej wówczas jeszcze *Encyklopedyi* Diderota i D'Alemberta weszły. Z liczby tych drobnych artykułów, przeważnie polemicznej treści, najważniejszym jest: *Il faut prendre un parti*, w którym Voltaire stawia wyraźnie kwestyę wiary w najwyższą Istotę i rozstrzyga ją twierdząco. Do liczby pism prozą skreślonych należą, prócz bardzo licznych listów, jeszcze i romanse, głównie w tym ostatnim okresie pisane. Jest w nich coś więcej, okrom bezeczności; jest wiele mądrych spostrzeżeń nad naturą człowieka i życiem.

Lepiej byłoby dla sławy Voltaire'a, dla czystości jego inienia, gdyby był wcale nie wydawał swojej *Dziewicy orleańskiej*; ale ją nareszcie po trzydziestu latach ciągłego układania, poprawiania i przeglądania, podczas pobytu w Ferney, ogłosił. Do ostatniego okresu życia należą poemata: *O prawie przyrodzonym* (loi naturelle) i *O Zniszczeniu Lizbony* (Le Desastre de Lisbonne), jako też bardzo wiele listów wierszem, epigramatów i ód. Wojnę domową Genewczyków opisał Voltaire w poemacie żartobliwym *La guerre de Genève*, gdzie nikomu nie przebaczył, a Rousseau'a zajadłe ścigał. W poemacie *La loi naturelle*, który wraz z *Eklezjastą* i *Pieśnią nad pieśniami*, spalono za wyrokiem parlamentu, wykazuje Voltaire, że moralność jest rzeczywistą treścią religii, a sumieniem jej stróżem i probierzem; wiara w Boga stanowi część konstytucyjną natury ludzkiej, i wskutek tego znajdujemy ją u wszystkich ludów. Poemat o trzęsieniu ziemi w Lizbonie jest protestacją samodzielnosci natury i człowieka, przeciwko ślepemu optymizmowi, w formę wyroków bożych przyoblekanemu.

Do końca życia nie przestawał Voltaire pisać tragedyj: *Tankred*, *Sierota chiński*, *Prawa Minosa*, *Irena* w Ferney powstały; ostatnią pisał już starzec 82-letni. Dziełność umysłu, podtrzymywana stalem używaniem opium, w tem ciele wątłem, do kości wyschłym — zadziwiała współczesnych, zadziwiać musi dzisiejszych. Na kilka miesięcy przed śmiercią nosił się Voltaire z projektem napisania krytycznej oceny, zostających jeszcze wówczas w rękopiśmie, *Pamiętników Saint Simona*; a prawie w przededniu skonu podawał Akademii francuzkiej projekt ułożenia słownika języka francuzkiego, na zasadzie historycznej i filozoficznej, która, gdyby w zupełności wprowadzoną była została przy redakcyi następných wydań, nadałaby dziełu Nieśmiertelných większą jeszcze od dzisiejszej wartość.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POLĄCZENI NA ZAWSZE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Elizę Polko

przełożyła

Ewelina Kłoskowska.

I

Wyjątek z listu.

Amare soffrire,
Tacere morire.

... Widzisz więc, siostrzyczko kochana, że mam wszelkie powody być zadowolonym z mego awansu i przeniesienia do L. Miasto jest już dość wielkiem, aby każdy urządzał się jak chce i może, nie czując krepujących więzów małomiasteczkowych koteryj. I tu wprawdzie istnieją koteryje, koła towarzyskie mało się ze sobą mieszają; przybywają tu na zimę szlachta, żyje między sobą; świat urzędowy trzyma się swojej kupki; ale inteligencja, literaci, profesorowie, artyści, których tu jest trochę, stanowią pewien rodzaj łańcucha między temi dwoma

obozami i łączą wzajem to, co z usposobień i potrzeb swych towarzyskich jest do tego połączenia skłonem i zdolnym. Wogóle życia tu jest dość, okolica jest tak piękna, że moje dawne upodobanie w malowaniu krajobrazów i rysowaniu z natury, powraca; zajęcia służbowe są nie przeciążające i z natury swej obywatelskie.

Możesz więc zupełnie mamę uspokoić, gdyż jako kawaler, nie zupełnie jeszcze stary, mogę lat kilka dość przyjemnie tu spędzić. Wizyty przecież oddałem tam tylko gdzie tego konieczność wymagała. Znasz mój wstąpienie do tak zwanych rozrywek towarzyskich; czy zaś później znajdę domy, w których czułbym się jak między swoimi? — tego jeszcze nie wiem.

Konieczności staraj się uspokoić mamę, która w nadmiarze miłości i troskliwości ciągle obawia się o mnie. Jest mi tu dobrze, a spodziewam się, że i później żadnej innej troski mieć nie będę, prócz tej, jaką mi sprawi czasem tęsknota za wami, najdrożsi moi — tęsknota za lubym małym domkiem z werendą i ogrodem, na którego końcu płynie z szumem kochana Wisłoka nasza, która dla mnie tak będzie zawsze najpiękniejszą rzeką na świecie, jak nam dzieciom wydawała się największą wodą na kuli ziemskiej. Jest jeszcze jedna wiadomość, której przecież nie śmiem mamie wprost donieść, i dlatego ją składam w twoje ręce: Jadwiga Górzycka bawi tutaj, mąż zawsze ją tu na zimę przywozi i lato tylko przepędzają w pięknym jego majątku, Strumiłowie, odległym zaledwie godzinę drogi od L. Dzisiaj wieczór pierwszy raz ją znowu obaczę, na balu, dla studentów.

Karolko kochana, czuję już czule, pełne obawy spojrzenie twych modrych oczu, na samo imię kobiety, która jako panna była pierwszą a — nawet aż do tej chwili pozostała jedyną miłością twego brata. Pozwól, niech te drogie oczy ucałuję, które może z troskliwości badać będą moje pismo, czy i ręka była spokojna, gdy to pisała. — Całkiem spokojna! — Dwanaście lat minęło od czasu, gdy taż osmastoletnia panna, zbyt posłuszna woli woli próżnej matki, rozstała się z biednym urzędnikiem sądowym, aby wyjść za bogatego dziedzica dóbr. Była to rzecz zwykła, rzecz, jaka zdarza się i zdarzać się będzie codziennie tak długo, jak długo będą ubodzy kochankowie i bogaci mężowie dla — rozsądnych panien.

Jak sen zamglony pozostało jeszcze w moich wspomnieniach to marzenie, które się poczęło podczas spaceru przy świetle księżyca, a skończyło się na owym balu, na którym Jadwiga pierwszego walca, zamiast zemną, tańczyła z panem Górzyckim. Była to różnanna przeszłość — piękna jak święto wiosenne, o którym melancholijna pieśń mówi:

„Trzy dni tylko trwa.“

Minęła już dawno, i zaledwie pozostał słaby zapach owych róż — przekwitłych!...

Żelazna ręka losu w samą porę wzięła mnie wtedy w swoje kleszcze i uniosła — nad San.... Jaki był ze mnie prawnik, jaki asessor — Boże odpuść! W piersiach moich wrzała burza, którą prawie każdy ubogi człowiek przejść musi w życiu. Pomyslić sobie, że do szczęścia, do miłości nawet, trzeba złota!... Ale gdy po czasie pewnym uciszyło się to we mnie, gdy wrócił spokój, poczułem, że mam przecież przeznaczenie jakieś, że życie czegoś odemnie żąda i wkłada obowiązki pracy, która znajdzie się dla każdego, kto chce tylko pracować; praca rzeczywista, wewnętrzna i zewnętrzna. Pojąłem, że miłość kobiety może i powinna być dla mężczyzny tylko jakąś częścią życia serdecznego, lecz nie życiem całym: mocno też myli się mama mniemając, że cierpię dotychczas, ponieważ nowe uczucie nie zastąpiło dawnego. Przykro mi, że w tkliwym swem przywiązaniu do mnie, w gorącym życzeniu, abym podług jej sposobu myślenia stał się szczęśliwym, zawsze jeszcze z największą gorącością o tym epizodzie życia mojego wspomina, — podczas gdy ja sam stałem się już zupełnie spokojnym i mogę powiedzieć: zapomniałem....

Mówią, że muzyka, bez której uspakajających tonów tysiące wyżyćby nie mogło, dla wielu jest rzeczą bez wartości. Czyż i z miłością nie dzieje się podobnie? Czy jest konieczną dla wszystkich ludzi? Czy jest konieczną i dla człowieka, który czuje, że jest na świecie, że jest w jego kraju tysiące wielkich prac do dokonania? Wielkie to pytanie, si-

strzyczko; odpowiedź mogłaby zająć długi i osobny list — chcę jednak oszczędzić ci czytania i nie napiszę go.

Zareczęm ci, że pani Jadwiga Górzycka jest dziś dla mnie osobą zupełnie obcą; podług i tego sposobu myślenia, mogę w niej widzieć tylko — żonę innego.

Znasz moje zapatrywanie się na rzeczy w podobnym przypadku; wiesz, że uważam to jako skazę na uczciwości, gdy wykradamy komuś cośkolwiek, co jest jego własnością, a czyż serce żony nie należy prawnie i godziwie do męża tylko? Jednym słowem Jadwiga, wychodząc za mąż, zerwała wszelkie węzły łączące nas. Przy moim usposobieniu żadna siła nie zmusiłaby mnie, aby się zawiązały nanowo. Przytem słyszę tu wciąż o niej w sposób, który mnie nie pociąga. Mówią o jej wielbicielach, o wielkim panu, księciu, który hołduje jej wdziękowi. Dla mnie dość — by było już tego samego, aby ją powitał z krwią najzimniejszą. Na dowód zaś, jak po tem spotkaniu głowa moja, serce i ręka chłodnemi, spokojnemi pozostaną, chcąc przytem zadowolnić twoją kobiecą ciekawość, która natychmiast wiedziećby pragnęła, jak Jadwiga teraz wygląda i jak mi się przedstawia, dokończę list dopiero w nocy po balu.

— A więc do owej chwili.

Po północy.

Jak widzisz dotrzymuję słowa. Siedzę i piszę chociaż bal trwa jeszcze, ale zostawiłem młodszemu odemnie rozkosz tańcowania w ścisłości i gorącu. Czuję się dziś już tak starym, że nie pojmuję, jak mogłem niegdys uważać bal, za najwyższą zabawę ziemską. Bardzo wiele nieznanym twarzą, bardzo wiele przedstawień, bardzo wiele niepotrzebnych słów i kilka tańców z obowiązku — voilà tout!

Wśród pierwszego walca, którego wypadło mi odtńczyć z jedną dostojną damą, ukazał się Górzycki. On sam nic się nie zmienił, tylko znacznie utył. Ten sam zimny, dumny uśmiech, też samo przyrzucanie niepewnego wyrazu oczu, ta sama ogłada w obejściu. Panią Górzycką zaś zaledwie byłbym poznał, gdyby nie to, że obaczyłem ją obok z mężem. Wydała mi się znacznie wyższą, niż niegdys, o wiele wysmuklejszą i włos jej nawet stał się ciemniejszym. Ludzie zowią ją dumną, ja zaś myślę, że tylko wspaniale wygląda, ale jako kwiat okwitający. Z nieporównaną szlachetnością głowa jej wznosi się na pięknych ramionach, a trzeba przyznać, że piękne, delikatnie zaakraglone ramiona tego klasycznego kształtu, który łączy się zwykle z szyją, zwaną łabędzią, takie, jakie właśnie pani Górzycka posiada, stanowią w moich oczach niezbędny warunek piękności kobiecej. Co podług mnie, najwięcej się zmieniło w Jadwidze, to jej oczy. Pewnie sobie przypominasz jeszcze te pogodne czoło, źrenice niebieskie, które i ciebie podbiły? Możliwe było natenczas przysiąc, iż nigdy, nigdy nie mogą one płakać, a teraz zdaje się, że te wielkie oczy, które zdawały mi się siwymi, nie mogłyby nigdy spojrzeć wesoło. Jasny ich błękit jest jakby starty, a natomiast nabrały połysku takich oczu, które się „ćwiczyły w płaczu.“

Wogóle rzecz biorąc, pozdrowiliśmy się, jak myśle, bardzo spokojnie i wciągu całego festynu zaledwie zamieniliśmy z dziesięć ulotnych frazesów. Głos jej szczególnie uroczy, pozostał całkiem ten sam, tak, że aż ogarnął mnie pewien rodzaj przestachu, gdy po raz pierwszy przemówiła. Ta niegdys ukochana Jadwiga mówiła, a przecież niebyła to już taż sama Jadwiga. Czulem prawie ból w sercu. Górzycki pozdrowił mnie jako dawnego znajomego żony w układny sposób chłodnej grzeczności, poprosiwszy mnie zaraz, abym ich odwiedził. Ona nie dopowiedziała ani słowa, pomimo to, trudno mi będzie wywinąć się od tych odwiedzin; ale dlaczegoż nie miałbym tam pójść? Przecież to jest zwykle zadośćuczynienie przyjętym zwyczajom, i zaniedbanie tego, dałoby właśnie powód do wcale niepotrzebnych pytań i uwag, podczas gdy bytność tam moja nie pociągnie za sobą żadnych następstw — ręczę ci. Pokażę się w ich domu raz przynajmniej podczas większego zebrania, i rzecz skończona. Nawet zależy mi na tem, by przekonać panią Górzycką, że wspomnienia prze-

szłości tak są zupełnie we mnie zatarte, jak sobie tego sama życzyć powinna.

Jesteś więc już uspokojoną? Czy zdałem dostatecznie sprawę? Mais non.... zapomniałem jeszcze o toalecie. Mówiłaś mi zawsze, że zdradzam niezwykle talent w spostrzeżeniach tego rodzaju. A więc i teraz nie uszło mej bacności, że ze wszystkich pań pani Górzycka ukazała się w ubiorze najmniej wyszukany, lecz zarazem najpiękniejszym. Miała suknię z białej jedwabnej materii, z długim, szeleszczącym po posadzce ogonem, spiętą u góry w staniku brylantową broszą. Było na tej sukni mnóstwo koronek, tak podobno kosztownych, że widok ich obudził szmer pomiędzy paniami — szmer podziwu i zazdrości. Włosy zdobiły świeże różane pączki i szpilki brylantowe. W rękę miała wielki bukiet z najrzadszych kwiatów — z cieplarni Strumiłowskiej, jak mi powiedziała, gdy mi sobie pozwolił zrobić uwagę, że są szczególnej piękności.

Rozumie się, że książę był także na balu, nie jest już młody, a blady i znużonego wyrazu twarzy, wygląda na daleko starszego, niż jest rzeczywiście; tylko gdy z panią Górzycką rozmawiał, ożywił się zamglony wyraz jego twarzy, a dodać trzeba, że mówił z nią wiele — bardzo wiele.

Na tym koniec — całuję wszystkich was z całej duszy. Dawno już północ minęła, znużone oczy same się już przysmakują.

Piszcie do mnie jak najprędzej.

Wasz

Wacław.

A przecież, rzecz szczególna, iż właśnie „znużone“ oczy patrzyły pomimo to szeroko rozwartemi źrenicami na światło stojącej na stole lampy, patrzyły jeszcze, chociaż pisząca ręka dawno już pracę swą skończyła, aż spotkały się z bladym światłem poranku, który w końcu przez szyby okna zajrzał do pokoju. Dlaczegoż nie znalazł się na nich sen, co nie dozwalało im spocząć? — Tamte oczy?

— Już on jej wcale nie kocha, mamó, wierzaj mi, powiedziało w nadwiślańskim grodzie wysmukła dziewczica, łagodnym głosem po przeczytaniu listu od brata.

— Inaczej, jakże mógłby tak pisać?

— Ale mamó — dodał zaraz potem miły ów głos — pan professor Morski kazał się dowiedzieć, czy może dzisiaj przyjść na herbatę? — Co każesz mu odpowiedzieć? Tu głos stał się trochę cichym i niepewnym.

— Pożądany, pożądany! — odpowiedziała z roztrągnięciem pani Strońska, gdyż jej myśli były przy synu, który był bożyszczem jej duszy, i nawet niezauważała zarumienienia córki, ani jej lekkiego pomieszania. Ona nie była bynajmniej tak pewną i spokojną, jak Karolina. Obraz skreślony przez syna, samo imię Jadwigi, jak zimne ostrze stali dotknęło jej duszę.

— Wacław musi podać się o przeniesienie — rzekła z pośpiechem, otrząsnąwszy się z zamyślenia, gdy córka znowu się przy niej znalazła.

— O! ta kobieta! jam przeczuwała, iż ona jeszcze raz stanie mu na drodze!

— Ale mamó — przecież ona sama pewnie się o to nie starała — odpowiedziała młoda panna.

— Czy myślisz ją znowu bronić? — rzekła matka prawie z gniewem. Powinnabyś przecie sama to zrozumieć, że o Wacława nie mogę być dotąd spokojną, dopóki nie znajdzie innego serca kobiety, któraby mu w końcu kazała zapomnieć przeszłość. Przecież musi i powinien ożenić się, bo bez tego niema szczęścia! O! myślałam, że już niema do tego przeszkody, już zaczynał być daleko przystępniejszym tej myśli.... Lecz teraz — muszę do niego napisać — musi koniecznie postarać się o przeniesienie.

We dwa tygodnie dopiero po nocy balowej, pan Wacław Stroński złożył pierwsze swe uszanowanie państwu Górzyckim. Lecz przyjął go tylko sam pan domu, w swoim eleganckim pokoju.

— Moja żona od czasu balu słaba — rzekł — przeziębła się podobno, a złączyło się z tem jakieś nerwowe rozdrażnienie i bardzo żałuję, że nie możesz jej pan widzieć — A bardzo się to źle składa. Książę obiecał nam bal maskowy; już dzień był oznaczony i trzeba było odroczyć go, bo książę koniecznie sobie życzy, aby moja żona była z nim

mogła. Pan bezwątpienia też będziesz—czy można zapytać się, w jakim kostiumie? Ma się rozumieć, że sekretu nie zdradzę, spocznie na nim pieczęć tajemnicy. Gospodarz się śmiał wesoło, ale gość został poważnym.

— Żałuję, że w tej mierze żadnego jeszcze objaśnienia dać nie jestem w możności,—odpowiedział. Jeszcze dotąd żadna myśl mi nie przyszła w jaką, prawdopodobnie niepokojną, poczwarkę mam się przemienić.

Pan Górzycki zwrócił uwagę gościa na kilka pięknych, konie przedstawiających, szkiców, które nad biurkiem zawieszono były.

— Musisz pan koniecznie zwiedzić moją stajnię w Strzumiotowie—rzekł.— W mieście czuję się jak w niewoli, bo pozbawiony tu jestem wszystkiego, co lubię, ale cóż robić? Nie można się zakopać w domu, jak niedźwiedź w norze. Należy oddawać coś stanowisku swemu i stosunkom. Na szczęście kilka miesięcy szybko przejdzie. Patrz—no pan, tam na ścianie za panem wisi podobizna mego pysznego Newfundlanczyka, Nelsona.

Wacław obejrzał się ze strachem, obawiał się spotkać gdzie z portretem Jadwigi, ale obawa okazała się próżną: tylko rysunki zwierząt zdobiły ściany, nigdzie w otoczeniu całam ani śladu istnienia kobiecego, żadnego haftu, żadnej ozdoby, która zdradzała wsuwającą się tu czasem rękę kobiety—był to pokój kawalerski.

Gdy Wacław schodził ze wschodów, spotkał staro medyka, Dra Meyera, który właśnie wychodził od pani Górzyckiej i mąż, który, grzecznie wyprowadzając gościa, jeszcze stał u góry, zawołał za nim: — Czy muszki z nosa naszej, soi-disant pacjentki już wypędzone?

— Panie, to nie są wcale muchy—odrzekł lekarz poważnie. — Pańska żona jest chora na seryo, ma gorączkę, i sędzę, że byłoby lepiej nie namawiać jej na ów bal maskowy, gdyż nowe przeziębienie mogłoby rzecz znacznie pogorszyć!

— A głupstwo! Już to wy, panowie lekarze, robicie zaraz z ziarnka piasku—górze! Trochę kataru i trochę grymasów kobiecych; już ja to znam. Musisz, doktorze, wyleczyć moją żonę na czas; ani podobna, aby na balu nie była, już i tak odroczonego dla niej o cały tydzień. Musi być zdrową, powiadam. Książę jest tak dla nas uprzejmy, a nawet utrzymują, że rozrywka bywa najlepszym lekarstwem na nerwy. Uśmierz zatem, doktorze, tę gorączkę, którą mnie straszysz, a potem posłemy do mojej żony pana Lafleur i wszystko będzie dobrze! Do miłego widzenia, szanowni panowie!

— A więc jest to w rzeczywistości zaziębienie, a nie tak zwane rozdrażnienie nerwów? — zapytał Wacław doktora, wychodząc z nim na ulicę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

VANINA ORNANO

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

przez

J. K. S.

(Dalszy ciąg).

Scena VI.

(Z prawej strony wchodzi: Sampierro i Vanina w strojach ślubnych, ona oparta na jego ramieniu.— Wieczór, zmrok zapada).

Sampierro

Dziękuję ci, najdroższa, żeś się pozwoliła uprowadzić z tego tłumu i gwaru. Czegóż drzysz, Vanino moja? Wszak to już nie kohekanek, ale mąż. Chodź, usiądźmy (siadają). Jakżeż tam we wspaniałych komnatach pałacu waszego, ciasno; jakżeż sklepienia kamienne przygniatały mi czoło; jak

głośny śmiech naszych gości, śpiew i rozmowy ich, zagłuszały mowę serc naszych! Ale tu sami jesteśmy tylko, Vanino—sami i dobry Bóg nad nami. Tu mogę cię zapytać, i ty możesz mi bez wzbudzenia rubasznych śmiechów odpowiedzieć: czyś szczęśliwą, Vanino? Czemu nie odpowiadasz mi, czemu oczęta twoje w dół spuszczone? Vanino, dziecię moje, żono moja, czyś ty szczęśliwa?

Vanina (podnosząc oczy ku niemu)

Są w życiu chwile wielkie i święte, a co natenczas czujemy, słowa wypowiedzieć się nie da!

Sampierro

Prawda, słowa „szczęśliwym“ „szczęście“ powtarzają co chwila ludzie, którzy o takim szczęściu jak nasze, nie mogą mieć pojęcia; więc nie odpowiadaj mi słowami, ale mów mi spojrzeniem, westchnieniem, uściskiem.... Podnieś raz jeszcze oczy ku mnie—ot tak! Widzę niebo w oczach twoich—wierzę, że jesteś szczęśliwą, Vanino! Żono... pozwól mi ust twych dotknąć.... Żono moja! (całuje ją, przytula do siebie, i jakiś czas w niemym zostają zachwycie). Słuchaj, luba moja. Są ludzie co wraz z miłością, cząstkę duszy swej oddają; są ludzie, mający ojca, matkę lub siostrę ukochaną, i miłość swoją dzielą i rozpraszają dokoła: ja—nie miałem nigdy, nikogo na świecie, prócz ciebie; mnie dotąd nikt nigdy nie kochał, nikt płaczu dziecka małego nie tulił, nikt mnie pieczęcią do snu nie kołysał. Ja wszystkie skarby kochania nierozproszone, nietknięte, zachowałem aż dotąd, i tobie daję serce równie czyste jak usta. We śnie tylko przeczuwałem czar uścisków miłości; zjawiała mi się nieraz w snach śliczna postać niewieścia, co mnie ku sobie tuliła: zapewne to był duch zabitej matki mojej, bo usta jej nie drżały tak rozkosznie jak twoje....

Vanina

Proszę cię... powróćmy do pałacu.

Sampierro

Czegóż się lękasz, ptaszyno? czy ciemnej nocy—czy mnie, męża twojego?

Vanina

Lękam się jakiegoś nieszczęścia, którego widmo, ot tu, obok nas, choć jeszcze niewidzialne, stoi.

Sampierro

Nie lękaj się, ukochana, dla nas już niema nieszczęścia na świecie! Niema cierpienia, skarg i łez—wszystko to utonęło w głębi rozkoszy pocałunku twego. Ah, jakżeś piękną w stroju oblubienicy! Chcę się dotknąć ustami dziewiczej gałązki mirtu, chcę się upoić wonią tajemniczego kwiatu pomarańczy, bo ręką dotknąć korony tej, zdjąć jej z czoła twój, nie śmiem. Jakże ta biała zasłona cudnie twą postać otula! Wydajesz mi się, w obłocznej osłonie tej, jakąś nadziemską istotą. O, ty nie jesteś żoną moją, poddaną woli męża; tyś kochanką duszy mej, Laurą w świątyni Pańskiej, Dantejską Beatrycę, zbiegającą z wysokiego nieba! Tyś moja, Vanino, tyś moja! Ja odejmę tę zasłonę, sploty lśniących włosów twoich opadną na ramiona....

Scena VII.

(Wchodzi nagle z lewej strony Hugo i niepostrzeżony staje przed Vaniną i Sampierrem).

Hugo

Sampierro—do broni!

Sampierro

Hugonie!

Hugo (podając mu pismo)

Korsyka potrzebuje ciebie: do broni! do broni!

Vanina

Kto to jest..., mężu mój....

Sampierro

Hugo Colonna, ów drugi ojciec mój, Vanino, o którym tyle razy opowiadałem ci.

Hugo (kłania się jej w miłosierdziu i mówi do Sampierra)

Sampierro.... Tu weselne śpiewy, a tam, w opuszczonej ojczyźnie naszej płacz matek nad ciałami dzieci.

Sampierro

Płacz matek... to straszna rzecz—prawda, Vanino?

Hugo

Płacz starców na świeżych gruzach miast naszych.

Sampierro (podnosi się powoli)

Płacz starców.... Vanino — to rzecz jeszcze straszniejsza—boć ojczyzny niema w niebie.

Hugo

Przeczytaj—że to pismo, Sampierro.

Sampierro

Prawda—trzeba przeczytać. (Czyta pocichu).

Hugo

Ja i Paolo odpływamy zaraz; cóż mamy powiedzieć senatowi i radzie?

Sampierro

Nie—ja płynę wraz z wami.

Hugo

Dzisiaj? zaraz? ty odpływasz wraz z nami?

Sampierro

Mówiłem wam, że stanę na pierwszy okrzyk „do broni!“

Vanina

Odpływasz tam.... tam.... daleko — za morze.... I to w noc.... taką ciemną, Sampierro?

Sampierro

Żeglarze nasi nie zmylą drogi — gwiazdy świecić nam będą—a gdy zabłyśnie jutrzeńka, już dawno z oczów naszych znikną precudne brzegi Italii. (Podaje jej rękę). Żono moja, bądź zdrowa.... zegniam cię—na jak długo? ah, nie wiem.

Vanina

Ty mnie nazywasz żoną — jestem nią.... dopiero przed chwilą wyrzekliśmy oboje: nie opuszczę cię aż do śmierci. Jam żona.... służy mi prawo iść z tobą wszędzie, o mężu i panie mój! Tu nie zostanę—popłynę z tobą, jam twoja. Ty idziesz na krwawy bój, ja.... tam—w twym domu czekać i modlić się będę.

Sampierro

Czekaj—i módl się za mną tu w domu matki twojej, żono. W to życie boju i grozy wziąć cię nie mogę, Vanino. Ale ta burza przemienie, wrócę po ciebie, jeżeli Bóg mnie zachowa. A jeśli dowiesz się, że poległ, to przywdziej szatę wdową i... i niezapomnij mnie prędko. No, bądź mężną, Vanino—nie płacz—w moim oku łyzy niema.

Vanina

Ja nie zostanę tutaj.... popłynę z tobą, tam!

Sampierro

Niemożna. Okręty genueskie pewno krążą po morzu, aby łódź naszą schwytać i mnie ująć w niewolę. Może porty nasze zastanę zamknięte, i trudno nam będzie dostać się na brzegi ojczyste; może pokład statku, na którym płynąć będę zarumieni się krwią naszą i wrogów naszych; może, porzucając statek, trzeba będzie zaufać sile własnego ramienia, a rzuciwszy się w morskie odmęty, dopłynąć do naszych wybrzeży. Jeżeli wtedy ty będziesz ze mną, Vanino.... ja, myśląc jedynie o two-

jem bezpieczeństwie, o twoim ratunku, zapomnę o sobie....

Vanina

Zostanę.... tak, zostanę — lecz pójdź ze mną do matki.

Hugo

Sampierro, trzeba nam śpieszyć, dopóki wiatr pomyślny dmie w rozwinięte żagle. Jedź lub zostań.

Sampierro

Zaraz, zaraz Hugonie—o, bez litości jesteś—czy nie widzisz, że mi się serce rozdziera?

Hugo

Widzę — i mówiłem, że lepiej nie mieć serca.

Sampierro

Vanino, przed matką twą stanąć nie śmiem. Gdy żyły twoje zobaczy, to rzuci na mnie przekleństwo, a ja się morskim powierzam odmetom i potrzebuję błogosławieństw waszych. Nie pójdę do matki twojej, Vanino—żegnaj cię.

Vanina

Mężu i panie mój, weź mnie z sobą....

Sampierro

Nie mogę. Vanino.... i takiz to miał być weselny wieczór twój? Zostajesz wdową zanim żoną byłaś... Daj mi z ślubnej korony kwiat jeden, żono moja—będę go nosił na piersiach. (*Vanina daje mu gałązkę mirtu, on biorąc ścisła jej rękę i całuje*). Jakże zimne i drżące rączki twoje....

Hugo

Sampierro.... ja odpływam.

Sampierro

Vanino—żegnaj mi. (*Odchodzi z Hugonem*).

Vanina (*sama, z zatamanemi dłońmi patrzy w stronę, gdzie odszedł Sampierro*)

Odszedł.... może jeszcze wróci—drżące usta nie mogły wymówić: żegnaj cię... Jam go nie pożegnała—on wróci po to ostatnie słowo. Lecz nie—za chwilę wiośła uderzą, wiatr zaszumi, fale uniosą go w dal, i nie usłyszysz słów moich. Sampierro, wróć—ja chcę, ja muszę pożegnać cię. (*Kładzie rękę na sercu*). Oh, jak tu boli... może serce pęknie z bóleści i umrę. Czasem z żalości umierają ludzie. Sampierro, mężu mój, wróć—ja chcę pożegnać ciebie. (*Upada prawie omdloną na darniowe siedzenie. Wchodzi Bianka*).

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Pan Damazy. — Komedya premiowana na konkursie krakowskim, w 4 aktach, p. Józefa Bliżnińskiego, przedstawiona po raz pierwszy na scenie Teatru Letniego dnia 15 Lipca 1878 r.

Rok już przeszło jak *Pana Damazego* wystawiono we Lwowie. Krakowie i w warszawskich teatrzykach ogródkowych, i teraz dopiero scena nasza zdobyła się na usłuchanie ogólnego życzenia. Jesteśmy z tego tembardziej radzi, iż wystawienie komedyi rzeczonyj przypadło w okresie reżysseryi p. Tatarkiewicza, który ją tak pomyślnie rozpoczął od „Kwiatu z Tlemcenu“

Ponieważ większość publiczności znała już dokładnie treść „Pana Damazego“, więc wielu przyszło tym razem do Teatru Letniego, dla czynienia porównań codo wrażenia, wywołanego grą naszych, i to pierwszorzędnych artystów, a artystów z teatrzyków ogródkowych. I znaleźli się tacy najwinni, którzy, zachwycając się grającymi w „Belle-vue“, czynili nieme znaki zapytania nad grą Żół-

kowskiego i panny Popielównej. Przyznać trzeba, że zamilowanie tak zwanego „świeżego powietrza“, co prawda, silnie zadymionego dymem z cygar i papierosów, i brzęku nieustannego talerzy i kufli, prowadzi zbyt daleko.

Nie przeczy my, że w tych teatrzykach znajdują się artyści istotnie utalentowani, którzyby naszej scenie wielki pożytek przynieśli (jak np. pp. Podwyszyński i Linkowski), ale że utworowi dobremu ze wszech miar, że takiemu „Panu Damazemu“ przedewszystkiem miejsce się należało w stałym Teatrze warszawskim, i że tam jedynie można należycie ocenić wszystkie jego przymioty, a jeśli są,—i niedostatki: o tem nikt już chyba nie wąpi.

Z prawdziwą tedy przyjemnością, przychodzi nam zdać sprawę z tego utworu, nacechowanego rzeczywistym talentem, a więc niepotrzebującego pochwał stronniczych i sztucznych argumentów, usiłujących wmówić w poczciwego czytelnika i widza, że tam i tu są jakieś ukryte przymioty i zalety. „Pan Damazy“ bowiem przedstawia się sam od pierwszej niemal sceny tak serdecznie, szczerze i naturalnie, charaktery głównie rozwijają się z taką swobodą i lekkością, a całość ożywiona jest nieustannie, takim miłym i do serca przemawiającym humorem, że jesteśmy z początku prawie pewni, iż autorowi do ostatka już, tehu nie zabraknie.

Komedya ta jest wszakże przeważnie komedyą charakterów, jakkolwiek i intryga prosta, niepowikłana cudacznie, ale tem więcej właśnie dlatego przemawiająca do umysłu, rozwija się nadzwyczaj swobodnie i naturalnie, dając w ostateczności rozwiązanie, świadczące o prawdziwej inwencji komedyopisarskiej.

Ot ten poczciwy, szlachetny do szpiku kości, ale bynajmniej nie safandula i nie głupi, Pan Damazy, zjeżdża ze swą córką do domu swej bratowej, pani Żegociny, baby złej, obłudnej, jednej z tych, które na wolnym ogniu zamęczają swoich małżonków, a mimoto umieją u świata zapracować sobie na opiniię poświęcającej się ofiary.

Pani Żegocina dławiła starszego od siebie męża tak długo, aż i zgasł, ale, jakkolwiek jej obiecywał sporządzić akt na przeżycie, przecież umiał się z tego wykręcić i umarł niesporządziwszy go, ani nie zostawiwszy żadnego testamentu.

Fakt ten stanowi oś całej intrygi, bo pani Żegocina, tając przed światem nieposiadanie aktu na przeżycie, lęka się jednak, iżby jej naturalni spadkobiercy z całego, dużego, majątku nie wyzuli.

Głównym naturalnym spadkobiercą jest właśnie pan Damazy, który dawno już zerwał stosunki z nieboszczykiem bratem, zmuszony do tego intrygami bratowej, a który, nie wiedząc że akt na przeżycie nie istnieje, zjeżdża do niej, zaproszony sam niewie po co, umyślnie. Zastaje on tu regenta Bajdalskiego, któremu co dopiero zwierzyła się pani Żegocina ze swej biedy, prosząc o pomoc prawną. Ale i pan Regent ma swoje widoki, bo skoro tylko dowiedział się jak rzeczy stoją z jej majątkiem, natychmiast dał znać telegrafem Geniowi, synowi swemu, iżby tu przyjechał, planując na córkę pana Damazego.

Nadto w domu pani Żegociny, mieszkają: Mańka, sierota, daleka kuzynka jej nieboszczyka męża. Seweryn, syn po jednym z braci męża, pani Tykalska, siostra Żegociny, a czasowo bawi też młody Antoni, syn po drugim bracie męża.

Trzeba rozpoznać wzajemny stosunek wszystkich tych osób do pani Żegociny, jako gospodyni domu i do siebie, ażeby zrozumieć dobrze, zachowanie się pana Damazego i dalszy bieg wypadków.

Pani Żegocina nie cierpi Antoniego, sama właściwie nie wie dlaczego, — może dlatego, że jestto młodziwiec prawy, pracowity i nieumiejący jej pochlebiać—kocha zaś nad miarę drugiego synowca, Seweryna, może dlatego, że ten na wskroś fałszywy i egoista, pochlebia jej, ulega na najmniejsze skinienie, słowem, wyzybywa się względem niej wszelkiej woli. Czyni on to jedynie dlatego, że pewnym jest, że po niej odziedziczy i raz wydotanie się z podrzędnego stanowiska, jakie dotąd zajmuje w tym domu; i że wtedy zadowolnić będzie w możności swą, jak ją zwie cynicznie, namiętność do owej Mańki, z którą obchodzi się pani Żegocina jak ze służką i dotego niecierpaną. Nareszcie typowo poczciwa pani Tykalska, z najczystsą pokorą i miłością ulegająca kaprysom swej siostry, ci-

cha i niepozorna, choć w końcu rozstrzyga lo wszystkich osób — wypełnia liczbę osób w tym domu.

Pan Damazy, przyjechawszy tu, z pewnem niedowierzaniem i jakby wietrzając jakiś podstęp, wnet po nitce trafia do kłębka, a wreszcie pomagają mu do tego rozliczne ambicje i interesa, które się grupują około jego osoby, jako około przyszłej fortuny, choć on o tem długi czas nie wie. Najpierw przeto, uderzyło go złe obchodzenie się pani Żegociny z Mańką. Po krótkim jej wybadaniu, każe nazywać siebie wujem, córce swej każe się z nią ucałować jak z siostrą, a potem niepytając się pani Żegociny, sadza ją podczas śniadania przy sobie. Już jest zły o tę poniewierkę sieroty, a tu jeszcze w dodatku regent, który chce przerwać kombinacją ułożoną przez Żegocinę, ożenienia Seweryna z córką Damazego, celem uratowania przeto fortuny, o którą zawsze lęka się ona jako nieprawna posiadaczka—zaskarża pod sekretem romans tejże Mańki z Sewerynem. Pan Damazy oburza się teraz gwałtownie, postanawia dziewczynę zabrać ze sobą, a z tego domu natychmiast wyjechać; — nie chce już dalej i słuchać regenta, który dlatego tylko chciał oddalić Seweryna od jego córki, żeby na jego miejsce postawić swego syna Genia. Przelekniona Żegocina ofiaruje swoją rękę regentowi, byle ją tylko ratował. I we dwoje postanawiają dać odczepnego p. Damazemu 50,000 zł. byle się tylko zrzekł raz na zawsze, wszelkich pretensyj do spadku. Pan Damazy niechętnie, ale już miał się zgodzić na to przez wzgląd na córkę, żąda jednak, żeby dano coś i Mańce; gdy mu tego odmawiają, nie wzięść nie chce i natychmiast zabiera się do wyjazdu.

Tu wszakże bardzo zrećnie autor prowadzi do rozwiązania. Oto zacna Tykalsia, widząc, że się tak wszystko źle składa, że Seweryn nie ożeni się z Mańką, choć się przecie kochali, bo ona na to z uśmiechem nadziei połączenia ich, patrzyła, — zwierza się panu Damazemu, że ma tam jakiś zapis nieboszczyka będący formalnym legatem dla niej a zarazem jasnym dowodem, że Damazy a nie kto inny, (ponieważ żadnego testamentu ani aktu na przeżycie nie zostało), jedynym jest spadkobiercą.

Ha! tu już pan Damazy wpadł we wściekłość. Więc go znowu oszukać chcieli? Z doskonałej następniej sceny, w której na udane spazmy pani Żegociny, odpowiada argumentem swej słuszności, a w której w końcu, na pierwsze usłyszane dobre słowo, mięknie i ustępuje, dowiaduje się widz, że połowę majątku oddaje pani Żegocinie pod warunkiem wyposażenia Mańki, a drugą oddaje córce i Antoniemu.

Kończy się zaś sztuka wyborym pomysłem, bo rejent, którego syn zakochał się w Mańce rozczarowanej już do Seweryna, wiedząc teraz, że Mańka będzie miała posag, prosi Damazego, iżby pamiętał o sierocie, czyli dobrze ją wyposażył, co przecież w końcu Geniowi przyspaść musi.

Nie mówiliśmy w tem streszczeniu o naiwnej a bardzo ładnej miłości córki pana Damazego, uroczego i pełnego wdzięku podlotka, do Antoniego, o namiętnym pociągu Seweryna do Mańki i jej rozpacz, gdy się przekonywa, jak on jest brudnie samolubnym i nieczemnym, o dyalogach bardzo żywych Genia, który uchodzi niby za pozytywistę, a mimo-to kocha się najbezinteresowniej w Mańce od pierwszego wejrzenia, ani wreszcie o Tykalskiej, typie skończonym i o tyle oryginalnym, że dobroć serca jej i szlachetny charakter, oprómiienia dziwnym blaskiem maleńkie śmieszne jej strony, — wszystkie te szczegóły, sceny i podrzędne charaktery, składające się jednak na powabną i wielce udatną całość, potrzeba widzieć samemu.

Jak widzimy, treść bogata choć nadzwyczaj prosta, bo z codziennych niemal wiejskich i domowych stosunków poczerpnięta, lecz co jest tu niezwykłym jako artyzm, to charaktery uchwycone żywo, wzięte wprost z natury, to uczucia, które autor czerpie z najgłębszych kryjówek serca, to wreszcie siła komiczna, będąca wpływem niepospolitego daru jego obserwacji obiektywnej, i zżycia się z temi postaciami, około których ocieramy się nieraz codziennie, niedomyślając się nawet wielkiej ich ludzkiej wartości.

Pan Damazy, bez zaprzeczenia, najdoskonalej

rozwinęty tu jest charakter. Jest on wykończony ze szczególnem zamiłowaniem artystycznym, zaokrąglony w najdrobniejszych ruchach i w najnieznaczniejszym napozór słowie; jest on w całym znaczeniu tego słowa zacnym, dzielnym człowiekiem, który lubo nie czytał wiele i mądrości świata nie posiadał, nie da się jednak zjeść w kaszy, umie doskonale rozróżnić cnotę od obłudy, charakter od pozoru.

Autor nigdy ani na jotę nie wpadł tu w konwencjonalność i szablonowość tego typu, który niemiłosiernie wyzyskuje ubodzy w pomysłach pisarze.

Niemniej też jego córka, Helenka. Wprawdzie wydaje się ona gąską, jest nią nawet potrosze a zwłaszcza z początku, gdy się znalazła w pięknym salonie i wśród obcych ludzi i pod surowym napomnieniem ojca, lecz wnet odzyskuje swój wdzięk naturalny i śmiałość, a gdy przychodzi rozstrzygnąć w kwestyi swego szczęścia, umie ona w pole wywieść takiego komedyanta jak Seweryn i nawet dalej, kierować się dyplomatycznie.

Równie dobrym a nawet oryginalniejszym typem jest rejent, figura najoczywistej wyszukana na prowincyi i wszystkie też prowincjonalne posiadające cechy i przywary. Kręactwo pokątne, sprytne, rozum dzisiejszych spekulantów, wążących uczucia i cnoty na ruble, gotowość do czynów dwuznacznych, byle nierozmijających się z paragrafem kodeksu kryminalnego, — a wszystko to okraszane pokostem serdeczności pół-szlacheckiej, pół-mieszcząskiej: oto jest pan Rejent Bajdalski. Zdawało mu się, że wychował syna według swej myśli, a raczej, że ten syn, wychowując się według modnej dzisiaj normy pseudofilozoficznej, przewyższy jego samego w przebiegłości. Tymczasem ten syn go zawodzi: nie a nie jest „pozytywistą“ jak mówi rejent. Nie jest on też i idealistą, lecz tylko co najwyżej, uczciwym i inteligentnym młodzieńcem.

Lecz czy więcej potrzeba? Czy koniecznie trzeba się zaciągać pod jakiś sztandar filozoficzno-społeczny, ażeby być dobrym obywatelem i rozumnym człowiekiem? Zdaje się nam, że autor, kreśląc charakter (zaledwo szkielet) Genia, chciał zrobić pewne ustępstwo na rzecz „pozytywistów“, chciał, żeby i wilk był syty i owca cała, a może mimowoli chciał wbrew „Pozytywnym“ Narzymskiego pokazać, że posługując się terminologią pozytywizmu, można być najidealniejszym w praktyce. Trud ten subtelny jakkolwiek świadczy o zręczności autora w obiektywizmie, nie dowodzi niczego. Narzymski bowiem nie myślał o ludziach z pozytywnym systematem w naukach ani o filozoficznym systemacie, ale o ludziach w materyjalizmie przegniłych, o kalkulatorach zimnych i bez serca, którzy egoizm swój i bezwzględność w środkach ubierać radzi w formę faktów niezbitych, dopełnionych i „pozytywnych“.

Genio wreszcie jest szkieletowany tak samo jak Seweryn, któremu autor nadał zrazu szerszy zakres, ale później, sam ze sobą w niezgodzie, czy w niekonsekwencji: postawienia obok siebie na jednej linii namiętności z najzimniejszym cynizmem i samolubstwem, — urwał go krótko, zesunął na drugi plan, lub, powiedzmy wprost, nie dokończył.

Figura wreszcie ta, przeprowadzona logicznie i niezblągnięta do ostatka w tym tonie jak została zaczęta, mogłaby wydać się świetnie w komedyi nawskroś satyrycznej, w galerii typów ujemnych, mających mimo ujemności szersze pole działania; lecz tutaj, na tle tak swojsko-serdecznym, odskakuje ona nienaturalnie i cokolwiek rażąco, a ze względów psychologicznych, cokolwiek nieprawdziwie. Seweryn daje za wielki zamach swym drobnym i poziomym celem, za dużo spożytkowuje podłości, czelności i cynizmu, dla tak drobiazgowego zadania. Niby namiętny aż do szafu dla Mańki, w tejże zaraz chwili chce ją najchłodniej poświęcić, a przytem to, co jej proponuje, wychodzi po za granice dozwolone z panią, bądźco bądź, dobrze wychowaną, jego kuzynką, a zwłaszcza wobec okoliczności wyświeconej w ostatku przez Tykalską, okoliczności nieubliżającej czci Mańki i jej godności. Tu sytuacja i stosunek towarzyski, całkiem inny aniżeli między „Kawalerem marcowym“ a jego gospodynią, i to, co tam, między ścianami alkowy kawalerskiej niezbyt raziło, tu razić musi,

Z tej też przyczyny i Mańka, zrazu kreślona szerokimi ale bardzo dosadnymi, a nawet bardzo dramatycznymi rysami, później staje się zwykłą, konwencjonalną i nieodpowiadającą pierwotnemu zamiarowi. Ona stworzona była do szerokiego dramatu; tymczasem kazał jej autor później zastosować się do ram codziennej przyzwoitości. Lecz nakreślenie tego charakteru w dwóch pierwszych aktach, świadczy, że Bliziński mógłby poprobać i samego dramatu.

Tykalska nareszcie, uzupełnia szereg charakterów żywych, nadzwyczaj sympatycznych i śmiałą kreślonych ręką w tej komedyi. A gdy jeszcze do tego dodamy, że akcja toczy się żwawo, bo nigdy nie leniwiej, że rozwija się stopniowo, aż dochodzi do swego szczytu w ostatnim akcie, rozwikłując zręczną intrygę; gdy powiemy, że jest tam bardzo dużo tego dowcipu, który, niewymuszony i nieszukany, zdaje się płynąć wprost z wesoło rozbudzonej fantazyi i że ten dowcip potęguje się prawie nieustannie w żywioł ściśle wchodzący w zakres rzetelnej komedyi: to chyba czytelnik już zrozumie, że literatura dramatyczna zyskała piękny nabytek w „Panu Damazym“. Jesteśmy też pewni, że autor nie osłabnie w wienie, która mu dopisuje ciągle, bo od „Kawalera Marcowego“ do „Pana Damazego“ postęp jest istotnie olbrzymi i oczom znawcy i nieznanicy, najwidoczniejszy.

* * *

Najpierw nasi artyści podzielili się rolami. Żółkowski wziął na siebie „Damazego“ i jakkolwiek w ostatnim akcie zwłaszcza wolelibyśmy trochę więcej ognia, jednak rola w całości pojęta i wykonana przez tak wielkiego artystę, musiała wyjść znakomicie. Miejscami zaś, odtwarzał typ porywającej szczerości i prawdy. Wziął on go przeważnie marsowato, bez uśmiechów i rubasności bezmyślnej, bez gapiowatości, tak łatwej dla pospolitego aktora; dopiero kiedy się oburza, krew w nim grać zaczyna i wtedy wybucha nie na żarty; — a kiedy się czemu dziwi lub czego nie rozumie, nie robi miny gapia, lecz dobrodusznego i naiwnego.

P. Rapacki znowu jako rejent, był zrazu może za dobroduszny, za bardzo uśmiechnięty, później wszakże rozwinął bogate zasoby swego talentu i na przykład w akcie czwartym, wywołał huczne oklaski prawdziwym swym komizmem. Brak mu było tylko tej przebiegłości prowincjonalnego doradcy, uwijającego się często po jarmarkach i zjazdach.

Pan Szymanowski (Genio) był tak doskonałym młodzieńcem „podwójnego obozu“, tak wesoło spowiadającym się ze swego systematu życia, że wywołał jednogłośny oklask. Tylko jeden p. Tatar-kiewicz z bladej swej roli Antoniego, który, jak wszyscy predestynowani na kochanków, anemiczni są na scenie od początku do końca, mógł stworzyć postać prawdziwą, pełną życia i ognia. Każdy inny na jego miejscu, nie wiedziałby nawet jak się dostroić do ogólnego tonu.

Pan Leszczyński jako Seweryn, rozłamanej, jak rzekliśmy, cokolwiek, swej roli, nie spoił harmonijnie, czego mógłby dokonać nadzwyczaj umiarkowaną grą z samego początku, przezco późniejszy szereg abdykacji z godności moralnej, byłby jako tako usprawiedliwił. W rolach kobiecych, panna Derynżanka i panna Popielówna wywiązały się jak najświetniej. Pierwsza (Mańka) jakby stworzona do tej roli, umiała z niej wydobyć wszelkie tam zawarte skarby głębokiego uczucia, zmieszanego z pewną demonicznością. Czy kiedy tuli się do zimnego łona Seweryna, czy kiedy odsuwa od niego ze wstrętem, zawsze wywiera wrażenie pełne dramatycznej siły — a gdy jej w końcu autor niewiele do działania pozostawia, umie mimoto przerwać w swym charakterze, artystycznie zamaskować.

Panna Popielówna z wyjątkiem jednej sceny w 1-m akcie (gdy ojcu mówi do ucha, że ją Seweryn chce w rękę pocałować), w której naiwność posunęła do przesady, tak niespodziewanej we wszelkich rolach tej wybornej artystki, — była zresztą znakomitą do samego końca. Naiwność jej wesoła i figlarna porywała wdziękami, a w kilku scenach okazała tyle wytrawnego talentu, tyle tej siły komicznej, której się nikt oprócz nie zdoła, że może służyć za wzór raz na zawsze wszystkim artyst-

kom, którzy kiedykolwiek ośmiela się objąć po niej tę rolę.

Pochwalić też trzeba pannę Micińską za bardzo dobre odegranie roli Tykalskiej. Najmniejsza szarża zepsułaby tę postać, tak wiernie z natury kreślona. Pani Ostrowska (Żegocina) wywiązała się ze swej roli wcale dobrze i umiejętnie. Charakter pani Żegociny należy do tych, którym większa doza komizmu, większe wysilenie na zrobienie efektu *à tout prix*, tylko zaszkodzić, bo unieprawdopodobnić może. Tak naprzykład moment ten, kiedy pani Żegocina z końcem III aktu siada z rejentem na kanapie i oboje zaczynają kichać, dałby się spożytkować przez artystkę, gdyby chciała, daleko jaskrawiej, ale że pani Ostrowska z tego nie skorzystała, to mamy jej tylko za dobre.

Edward Lubowski.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 6 Lipca 1878 r.

Kongres literacki międzynarodowy w Paryżu

(Dalszy ciąg).

Nastał nakoniec dzień oczekiwany. We Wtorek o godzinie 2 po południu otwarło się posiedzenie owo — nietylko walne, generalne, ale nadto publiczne. Czy wskutek złej organizacji czy źle rozdanych biletów, publiczność nie wystąpiła tu ani liczbą, ani świetnością, jak zwykle bywa w Paryżu; czekano, ociągano się, a chociaż naznaczono pierwszą godzinę, rozpoczęto posiedzenie, jak mówiłem, o godzinie drugiej. Wejście Wiktora Hugo powitane zostało niezmiernymi oklaskami. Nie mogło być inaczej: najprzód, to mu się należało, a powtóre, dla niego było to posiedzenie i jego tylko przyjaciele i zwolennicy zasiadali na ławach.

Skoro ucichły oklaski, Wiktor Hugo oznajmił, że zgromadzenie jest otwarte i dał głos p. Ed. Aboutowi. W krótkiej, jasnej i wybornej przemowie zagał on posiedzenie, wskazując jakie jest dzisiaj położenie kwestyi codo własności literackiej, jakie są nadzieje w tej mierze literatów i jaki cel kongresu. Mowa ta, przerywana oklaskami zgromadzenia, sprawiła doskonałe wrażenie na umysłach wszystkich — i, jak później wyraził się Juliusz Simon, trudno powiedzieć: co bardziej należało podziwiać w tej przemowie czy blask i świetność dowcipu czy zdrowy rozsądek mówcy?

Po tej wstępnej przemowie zabrał głos Wiktor Hugo. Cały świat prawie zna dziś fizyognomię znakomitego poety. Ale ci, co go nie widzieli, zadziwiliby się może, jak mało podobieństwa jest pomiędzy twarzą poety a jego portretami, które wogólności dają nam rysy jego bardziej upożytkowane niż wierne. Wiktor Hugo, który się rodził z wiekiem, jak sam gdzieś powiedział, *né avec le siècle*, a dziś 77 lat skończonych, — miernego wzrostu, silnie zbudowany, na pierwszy rzut oka wygląda bardziej na spokojnego mieszkańca z prowincyi niż na jednego z orłów Parnasu i na jednego z agitatorów paryzkich. Ubiór skromny, powszedni, obejście się proste, spokojne, ruchy powolne, tusza umiarkowana, zdają się potwierdzać jeszcze to pierwsze wrażenie. Rysy twarzy zwyczajne, zaokrąglone, wydatne i trochę ociążałe przez wiekiem, ukryte są w części pod gęsto i samopas i zarosłym obfitym włosiem siwej brody, brwi i wąsów. Czoło, które portreciści poety starali się zawsze powiększyć nad miarę, chociaż jest obszerne, nie uderza przecież ani pięknością, ani szczególną wielkością swoich rozmiarów: siwe, krótko-strzyżone włosy strzępią się trochę bezładnie na głowie bardzo zwyczajnej formy i rozmiarów, — słowem, nie nie powiada, nie nie ostrzega, że jesteśmy wobec wielkiego poety.

Wiktor Hugo ma zwyczaj pisać piórem gęsim, grubo zatemperowanym i nie żałuje zwykle atramentu. Papieru używa białego, a odrębny format otrzymuje, odcinając czwartą część szerokości całego arkusza. Na takiej karcie pisze, zostawiając

szersokie marginesy z czterech boków i pisze po jednej tylko stronie. Głos ma donośny, ale bez metalicznego dźwięku, mówi bez deklamacji, ale też bez żadnego nacisku, któryby pochodził bądź z serca, bądź, jak powiadają Arabowie, z wątroby.

Kiedy powstał z krzesła, Wiktor Hugo trzymał w rękę spory stos éwiartek białych wielkiego rozmiaru. Poeta bowiem niema zwyczaju improwizować i mówić z pamięci, czego, jak zobaczymy później, należy żałować. Czytał więc wpośród milczenia długą dość mowę, w której, niestety, wśród wielu pięknych i dobrych rzeczy znalazło się więcej jeszcze rzeczy niepotrzebnych. Zaczawszy od literatury i własności literackiej, poeta prędko się pozbył tego ciężaru, odrzucając je na stronę, szybko przeszedł do palących kwestyj zupełnie i wyłącznie należących do polityki miejscowej i wewnętrznej Francji. Trzy znane ideały Wiktora Hugo, jako męża stanu: surowe republikańskie zasady, Eneyklika i wpływ Kościoła, a nakoniec amnestya dla wszystkich przestępców Komuny, z dodatkiem gorących słów o jubileuszu Voltaire'a stanowiły całą treść tej ważnej mowy, którą pierwszy francuzki poeta i pisarz powitał delegowanych przybyłych zewszystkich stron świata, aby usłyszeli głos mający przewodniczyć ich zgromadzeniu i obradom w tak żywotnej kwestyi, jaką jest własność literacka. Oklaski, któremi okryto pewne wyrażenia i pewne alluzye mówcy, należały się szczególnie Francuzom, naturalnie zwolennikom, co bądź, nie mówcy ale wykazanych przezeń dążeń. Większa część delegowanych została zimną wobec tej manifestacji tak obcej celowi, ku któremu dążyło zebranie kongresu. Następnie zabierali głos pp. Mauromacchi, delegowany włoski, Iwan Turgeniew, Jerrold angielski, Fonseca brazylijski, a nakoniec niezbędny niemiecki pan Löwenthal. Z tych zatrzymamy dla pamięci dwie tylko przemowy: Anglika Jerrola humorystyczną improwizację, którą zaczął od słów, aby mu przebaczone śmiałość, z jakim zabiera głos po takim mówcy jak Wiktor Hugo,—jest to, mówił, tem większa zachwalność, że jako Anglik mam się wyrazić po francuzku, a potem, żem strasznie zakatarzony... To wywołało wielką wesołość zgromadzenia, i rzecz Jerrola, choć z grubym akcentem Brytana wygłoszona, dobre sprawiła wrażenie. Przemówienie Turgeniewa, choć krótkie ale opracowane, nie było bez literackiej wartości. Przypomniał on, że za panowania cesarzowej Anny, na pierwszym otwartym teatrze w Moskwie, pierwszą sztuką graną było tłumaczenie jakiejś komedyi Moliera. Wówczas, mówił, nie mieliśmy jeszcze ani literatury, ani pisarzy narodowych. W 50 lat później uważaliście już nas za swoich uczniów, dziś przyjmujecie nas za swoich kolegów. Było to sprytne, pochlebne i zręczne przemówienie: okryto je zasłużonymi zresztą oklaskami. Długa, rozwlekła i niezgrabna mowa p. Löwenthala, w której ten znakomity syn Arminiusza nastawał na to szczególnie, jak Niemcy kochają Francuzów — i Francuzi, gdyby znali ich lepiej, pokochaliby Niemców, o mało nie nawarzyło piwa, bo już zaczęto szemrać, chrząkać, pokasływać. Zwykle tu symptomata przed burzą. Przecież kolega i współrodak mówcy, p. Breitshwert, tak go z tyłu pociągał za poły, aby skończył to nieszczęśliwe prawdziwie niemieckie kazanie dla przytomnych, że wreszcie zamknął swe wielkie nawiasy sławny mówca Germanii, na co zgromadzenie całe odpowiedziało głębokiem westchnieniem, które znaczyło: dzięki Bogu, już koniec!

Ostatnim mówcą był Juliusz Simon, znany jako pisarz i jako mówca polityczny; nie mam potrzeby polecać go uwadze czytelników moich. Wzbraniał się on naprzód długo, a nakoniec, ulegając prośbom wszystkich i Wiktora Hugo, zabrał głos i w improwizacji pełnej blasku i werwy oratorskiej, przypomniał nakoniec zgromadzeniu najlepsze tradycje francuzkiej mównicy i prawdziwy cel zebrania. Wymijając uważnie i zręcznie najdotkliwsze punkta podniesionej przez Hugo kwestyi pozostał na gruncie literackim. Naciskał na to jedynie, że Kongres, szukając ugruntować zasadę własności literackiej nie chce bynajmniej dobić się zysków, ale stara się jedynie uprawnić to, co się należy ludziom, którym ludzkość cała zawdzięcza światło, postęp i chwałę intelektualnych swoich na-

bytków. — Głos zużony widocznie, pozbawiony tych dźwięcznych, jakby metalicznych, a tak rzadkich strun prawdziwego mówcy, potrafił jednak wyrazić wszystkie delikatne odcienie tej improwizacji. Powierzchnowość Simona powszednia, twarz zużona, pozbawiona włosów czaszka, nie dodają żadnego prestigium, a przyzwyczajenie rzucać w uniesieniu obu ramionami w jedną lewą stronę, nadaje coś zabawnego tym ruchom, zwłaszcza, gdy mówca, jak w tym razie pozbawiony mównicy, musi występować całą postacią na scenie teatru wobec publiczności.

Tegoż samego dnia i pod prezydencją W. Hugo odbył się o godzinie 8 w wielkiej sali Hotelu Kontynentalnego, przy ulicy Castiglione, sławny bankiet. Zgromadzenie było liczne, nadto może liczne, bo nietylko zebrali się tu wszyscy delegowani, ale i niedelegowani,—kto w Boga wierzy i kto nie wierzy. Było więc huczno, tłumno. Ale obiad był dobry, wino wyborne. Wesołość więc wstąpiła do serca, a śmiałość do głowy każdego; rozwiązały się języki i kiedy przyszło do rozwiązania toastów, po większej części pijąc zdrowie Wiktora Hugo, puszczone się na takie wybryki wymowy, jakich nigdy może ucho ludzkie nie słyszało. Wszyscy ci cudzoziemcy, nieumiejący zapewne improwizować we własnej swej mowie, puszczający się odważnie na improwizację francuzką, każdy ze swoim akcentem,—była to rzecz prawdziwie tak zabawna a razem przykra, iż należałoby na przyszłość wydać przepis, zabraniający mówić w obcym języku dłużej niż dwie minuty. Słyszeliśmy tu szczególnie długą jakąś a niezrozumiałą mowę staro duńskiego poety, zdaje się, Holsta, było to śmieszne, to prawda, ale też i bolesny był widok poważnego człowieka występującego w tak zabawnej roli, tembardziej, że Holst uważany jest w Danii za jednego z najwytworniejszych pisarzy.

Wielu mówiło, ale my o jednej tylko wspomniemy przemowie pana Wittmanna, delegowanego austriackiego. W dowcipnej a bardzo praktycznej i rozumnej improwizacji, odpowiadając na niektóre wyrażenia p. Mauromacchi na posiedzeniu rannem wygłoszone, umiał on podnieść kwestyę kongresu i postawić ją w takim świetle, że ta pokazując to praktyczną, to zabawną stronę literackich kłopotów, zyskała mu oklaski powszechne i uściśnienia dłoni prawie każdego z przytomnych. Był to prawdziwy tryumf i w całym ciągu kongresu był to jedyny cudzoziemiec, który otrzymał palmę pierwszeństwa nawet przed samymi Francuzami. Ale jest to rzadki i jedyny wyjątek, a my radzimy tylko, aby nauczenni przykładem przyszli mówcy przyszłych kongresów, jeśli im przyjdzie mówić w obcym języku, starali się przedewszystkiem nietylko o sposoby oratorskiej chwały ile o krótkość, jeśli nie wolą zamleżeć.

Na następnem posiedzeniu po sławnym bankiecie Zgromadzenie wysłuchało rapportu pierwszej komisyyi. Referendarz, pan Dognée, Belgijczyk, streściwszy cały ciąg rozpraw pierwszej komisyyi, złożył jej wniosek zredagowany następnym sposobem:

„Prawo autorskie, jakie ma autor do swojego dzieła, nie jest jeno ustępstwem (nadaniem) prawa, ale stanowi jedną z form własności, którą prawodawca winien jest zapewnić“.

Artykuł ten poddany głosowaniu Zgromadzenia, przyjęty został jednogłośnie prawie, mówię prawie, bo jeden z delegowanych angielskich pod wpływem najszlachetniejszego skrupułu, co tak doskonale charakteryzuje ten naród, wstrzymał się od głosowania dla tego, iż czynione propozycje były w zupełnej sprzeczności z prawem angielskiem.

Tu należy pomieścić następny szczegół: sekretarz Zgromadzenia doręczył kilka listów prezydentowi; w nich posłowie rozmaitych państw, którym posłane były bilety na posiedzenie publiczne Teatru du Châtelet, odsyłając je, wymawiali się grzecznie z niemożności znajdowania się na tym obchodzie. Listy zostały odczytane; była to prosta formalność, i wszystko zdawało się skończonem, gdy w tem, znany światu ks. Józef Lubomirski, autor rozmaitych niefortunnych powieści i mąż pani Boyer, właścicielki sławnego elixiru *Karmelitańskiej Melissy*, zażądał głosu: dano mu go, a nadspodziewanie wszystkich, Książę Pan wy-

stąpił z gorącą protestacją przeciw tej niegrzeczności posłów, którzy odmówieniem śmieli odpowiedzieć na wezwanie kongresu. Z początku szmer, a nakoniec krzyk niezadowolnienia całego zgromadzenia zagłuszył to wystąpienie nierozważne Księcia Pana, które zresztą Ed. About krótkimi słowy skareił i odparł.

Ponieważ na posiedzeniu następnem miało być roztrząsane ważne zadanie drugiej komisyyi, tyjące się praktycznego zastosowania *Prawa autorskiego* do rozporządzeń i ustanowień prawodawstwa w rozmaitych krajach i ponieważ Wiktor Hugo chciał być wysłuchanym w tej mierze, postanowiono zatem, zamykając posiedzenie tego dnia, że następne odbędzie się w Sobotę d. 22 Czerweca.

Posiedzenie to, otwarte o godzinie 2 po południu, zostanie jednym z najważniejszych całego kongresu. Najpierw tenże sam książę Lubomirski ponowił znówu swój atak przeciw dyplomatom w formie protestacji przeciw słowom p. Aubout'a. Zakrzyczany, jak poprzednio, przez całe zgromadzenie, nową odebrawszy admonicę od tegoż Abouta,—usiadł zadowolony, poczem prezes Hugo ogłosił, że to już sprawa wysłuchana i skończona. Nastąpiła dyskusya o *Prawie autorskiem*. Pierwszy pan de Santos, delegowany hiszpański, zabiera głos, przypominając tak liberalne rozporządzenia w tym względzie prawa hiszpańskiego; po nim mówili z kolei pp. Ratisbonne, Leon Richer, Réal, About i Molinari. Jedni utrzymywali, że prawo autora i jego successorów jest niezaprzeczone i wieczyste, że powinno być uznane wszędzie, drugim się zdawało, że to prawo ustaje ze śmiercią autora i że każdy kraj może je uważać ze swego odrębnego punktu widzenia. Mauromacchi utrzymuje prawo nietykalne dla autora i jego następców do rozrządania według swej woli swojemi dziełami i daje za przykład Manzonięgo i Lamennaisa, którzy, zmieniwszy opinie, mieli prawo nawet do zniszczenia dzieł, nie zgadzających się z ich późniejszymi przekonaniem.

(Dokończenie nastąpi)

HISTORIA ZBRODNI

T O M II.

ZAKOŃCZENIE.

U p a d e k.

(Dalszy ciąg).

Bitwa Sedańska jest czemś więcej aniżeli bitwą którą się stacza; jest syllogizmem, który się dokoncza: straszliwą premedytacją przeznaczenia. Przeznaczenie nie kwapi się nigdy, ale nadechodzi zawsze. Oto i nadeszło. Pozwala upływać latom, później w chwili, gdy najmniej myślą o niem, ukazuje się. Sedan—to niespodzianka, fatalność.

Od czasu do czasu, w historyi logika boska robi wycieczki.

Sedan jest jedną z takich wycieczek.

A zatem 1 Września, o piątej godzinie rano, świat obudził się pod słońcem, a armia francuzka pod piorunem.

Bazeilles pali się, Givonne pali się, Floing pali się; — zaczyna się od kuźni. Cały widnokrąg stoi w płomieniach. Obóz francuzki jest w tym kraterze, osłupiały, przestraszony, rojąc się po grzebnie. Krąg piorunów otacza armię, która jest opasana zniszczeniem. Ta rzecz bezmierna odbywa się naraz na wszystkich punktach. Francuzi opierają się a są straszni, niemając nie już więcej prócz rozpacz. Nasze armaty — prawie wszystkie według starych modeli i niedalekonośne, są natychmiast zdemontowane przez strzały przerażające trafnością, Prusaków. Gęstość deszczu kul na dolinę jest taka, „że ziemia cała jest poorana jak-by w bruzde“, mówi jeden ze świadków. Ileż armat? Tysiąc sto najmniej. Dwanaście bateryj niemieckich nad samem Moncelle; trzecia i czwarta

Abtheilung, artyllerya straszliwa na wierchołku Givonne, z 2-gą baterią konną w rezerwie; na wprost Daigny, dziesięć baterij saskich i dwie wirtemberskie; firanka drzew lasu na północy Villers-Cernay, ukrywa *Abtheilung*, będącą z trzecią artylleryą rezerwy, a z ciemnych gąszczy wysypuje się ogień piekielny. Dwadzieścia cztery armaty pierwszej ciężkiej artylleryi, wystawione są w baterii w poblizkiej polance na drodze od Moncelle do La Chapelle; bateria gwardyi królewskiej zapala lasy Garennny; bomby i kule przedziurawiają Suchy, Francheville, Fourn Saint-Rémy i dolinę pomiędzy Heibes a Givonna, a potrójny i poczwórny rząd armat, przedłuża się bez końca aż do Illy, ostatniego punktu widnokregu. Żołnierze niemieccy, siedząc lub leżąc przed baterią, patrzą na robotę artylleryi. Żołnierze francuzcy padają i umierają. Pomiedzy trupami, pokrywającymi dolinę, znajduje się jeden trup oficera, na którym znajduje się jeden zapieczetowany pakiet, zawierający ten rozkaz, podpisany przez Napoleona: „*Dzisiaj, 1-go Września, odpoczynek dla całej armii*“ (1).

Dzielny 35 liniowy, niknie prawie cały pod nawałem kartaczy, niemniej dzielna piechota marynarska, trzymała przez chwilę w odporze sasów pomieszanych z bawarami, lecz otoczona ze wszystkich stron, cofa się; cała przeświecona kawaleria dywizyi Marguerite wypuszczona przeciw piechocie niemieckiej, zatrzymuje się i rozpada na pół drogi, zniszczona, jak utrzymuje raport pruski, „przez ogień dobrze wymierzony i spokojny“.

To pole walki ma troje wyjść, wszystkie trzy zatarasowane: droga do Bouillon przez gwardię pruską, droga do Carignan przez Bawarczyków, droga do Mézières przez Wirtemberczyków. Francuzi nie pomyśleli o zabarykadowaniu drogi kolei żelaznej; trzy bataliony niemieckie zajęły ją w nocy; dwa domy odosobnione na drodze do Balan mogły się stać punktem dźwigowego oporu, zajęły je również Niemcy; park z Monvillers do Bazeilles zarosły trawą i głęboki, mógł przeszkodzić połączeniu Sasów, zajmujących już Moncelle i Bawarczyków zajmujących już Bazeilles; — lecz i tu już uprzedzili Francuzów Bawarczycy, ścinający płoty swemi siekierami.

Armia niemiecka rzuca się za jednym zamachem w najzupełniejszej jedności; książę saski stoi za wzgórz Mairy zkad dominuje cały przebieg akcji. W armii francuzkiej, dowództwo waha się między tym i owym. Z początku bitwy o trzy kwadrans na szóstą, Mac-Mahon raniony odłamkiem granata; o siódmej Ducrot go zastępuje, o dziesiątej Wimpfen zastępuje Ducrota. Coraz bardziej zbliża się mur ognia, grzmienie strzałów, ta ponura pulweryzacja 90,000 ludzi, jest ciągła; nigdy nie podobnego nie widziano, nigdy armia nie została zaprzeczona pod takim nawałem kartaczy.

O godzinie pierwszej — wszystko było stracone.

Pułki w największym zamieszaniu, cofają się do Sedan. Ale Sedan palić się zaczyna; Dijonval pali się także, ambulanse palą się; nic nie pozostaje jak przebiec się.

Wimpfen, energiczny i zacny, proponuje przebiec się cesarzowi.

Pułk 3-ci zuawów, rozpaczony, dał przykład; odcięty od reszty armii, przebił sobie przejście i dosięgnął Belgii. Ucieczka lwów.

Nagle, ponad klęską, ponad kupą ogromną umarłych i umierających, ponad tem nieszczęsnem bohaterstwem, — ukazuje się hańba! Wywieszono białą chorągiew!

Byli przy tem Turenne i Vauban — obydwaj obecni, jeden w posagu, drugi w cytadelli.

Posąg i cytadella, świadczyły tej ohydnej kapitulacji. Te dwie dziewice, jedna z brązu, druga z granitu, uczuły się zelżone. O dostojne oblicze ojczyzny! O wieczysty rumieńcu!

6.

Ta klęska Sedańska łatwą była do uniknięcia dla pierwszego lepszego, — niemożliwą dla L. Bonaparte. Tak mało jej unikał, że prawie jej szukał. *Lex fati*.

Nasza armia zdawała się w szyk ustawioną, jakby umyślnie dla katastrofy. Żołnierz czuł się niespokojny, wygłodniały, stropiony.

D. 31 Sierpnia, widzieć było można jeszcze na ulicach Sedanu żołnierzy szukających swego pułku i zębrzących od drzwi do drzwi, chleba.

Widzieliśmy, że rozkaz Napoleona naznaczał nazajutrz czyli 1 Września, jako dzień odpoczynku. Rzeczywiście, armia upadała ze zmęczenia, mimo, że odbywała krótkie tylko etapy. Żołnierz utracił prawie przyzwyczajenie do marszu. Niejeden korpus, naprzykład 1-szy, doszedł do tego, że robił dziennie zaledwo dwie mile. (29 Sierpnia ze Stonne do Raucourt).

Podczas tego, armia niemiecka niezblaganie doprowadzona i prowadzona pod buławą, na wzór tłumów Xerksa, dokonywała marszów czterdnastomilowych w piętnaście godzin, co jej pozwoliło napaść niespodzianie i otoczyć uspijoną armią francuzką. Dać się otoczyć niespodzianie, było zwyczajem; generał de Failly dał się tak otoczyć w Beaumont. W dzień żołnierze rozbierali swe karabiny do czyszczenia, w nocy spali, nieprzecinając nawet mostów, które ich oddawały nieprzyjacielowi. W ten sposób, zaniedbano wysadzić prochem mosty Mounzon i Bazeilles. W d. 1 Września jeszcze przed świtem, awangarda z 7 batalionów, dowodzona przez generała Schultza zajęła Rulle i zapewniała połączenie armii Mozy z gwardią królewską. Prawie w tej samej minucie, z precyzyą niemiecką opanowali Wirtemberczycy most de la Platinerie, a ukryte w lesie Chevalier bataliony saskie, rozwinięte w kolumny, zajęły całą drogę od Moncelle do Villers-Arnay.

To też widzieliśmy, jak było strasznie przebudzenie się armii. W Bazeilles, mgła połączyła się z dymem. Nasi żołnierze zaatakowani w tych ciemnicach, nie wiedzieli czego śmierć od nich żąda; bili się więc od domu do domu, od izby do izby. Nadaremnie też brygada Reboul przybyła poprzeć brygadę Martin des Paillières, trzeba było ustąpić. Równocześnie Ducrot zmuszonym był koncentrować się w lesie Garennny, na przedgórzu Illy; Donay zachwiany, cofał się; Lebrun jeden trzymał się tego na równinie Stenay. Nasze wojska zajmowały linią pięciu kilometrów; czoło armii francuzkiej zwracało się frontem na wschód, lewą ku północy, krawcową lewą (brygada Guyomar) na zachód; lecz nie wiedziano czy się zwrócono frontem ku nieprzyjacielowi, bo go nie widziano; zniszczenie działało niepokazując się, miano do czynienia z Meduzą zamaskowaną. Nasza kawaleria była wyborna, lecz nie przydała się na nic. Pole walki zawałone stosami drzewa porąbanego, dobre było dla artylleryi i piechoty, złe dla kawalerii. Strumyk Givonny, który płynie w głębi, miał w ciągu trzech dni więcej krwi aniżeli wody. Pomiedzy innemi miejscami rzezi, Saint-Menges wyglądało straszliwie. Przebiecie się przez Carignan ku Montmédy, wydawało się możliwem przez chwilę, później się zamknęło. Nie było już innego schronienia nad Sedan; Sedan zapchany wozami, furgonami, zaprzęgami, barakami rannych, kupą rzeczy palnych.

To konanie bohaterów, trwało dziesięć godzin.

Nie chcieli się poddać, oburzali się na to, chcieli dokonać swej śmierci tak walecznie poczętej. Wydano ich.

Rzekliśmy, że trzech ludzi, trzech walecznych żołnierzy, następowało po sobie w dowództwie, Mac-Mahon, Ducrot, Wimpfen; Mac-Mahon miał zaledwo czas, ażeby otrzymać ranę, Ducrot, ażeby popełnić błąd, Wimpfen, ażeby powziąć ideę bohaterską; ale Mac-Mahon nie jest odpowiedzialnym za swą ranę, Ducrot nie jest odpowiedzialnym za swój błąd, a Wimpfen nie jest odpowiedzialnym za niemożliwość przebiecia się.

Granat, który uderzył Mac-Mahona, wydobyl go z katastrofy; błąd Ducrota, to jest rozkaz niestosowny cofania się dany generałowi Lebrun, da się wytłómaczyć przerażeniem i zamieszaniem chwili, i jest raczej pomyłką niż błędem; Wimpfen zropaczony, potrzebował do przebiecia się dwudziestu tysięcy żołnierzy, a nie mógł zgromadzić więcej nad 10,000.

Historia zwolni tych trzech ludzi, bo w tej klęsce Sedańskiej jeden tylko był fatalny generał, to jest cesarz.

Co się zawiązało w d. 2 Grudnia 1851 r. to rozwiązało się w d. 2 Września 1870 r.; rzeź na bulwarach Montmartre i kapitulacja Sedanu, są, kładziemy na to nacisk, dwiema częściami syllogizmu; logika i sprawiedliwość trzymają się równo; leżało w tem fatalnem przeznaczeniu, zacząć od sztandaru czerwonego rzezi, a skończyć na sztandarze białym: hańby!

7.

Nie było innego wyboru prócz śmierci albo hańby; potrzeba było oddać swego ducha lub swą szpadę. Ludwik Bonaparte oddał swą szpadę. Napisał do Wilhelma:

„Ponieważ nie mogę umrzeć w pośrodku wojsk swoich, nie pozostaje mi więc nic innego jeno oddać szpadę w ręce Waszej Królewskiej Mości“.

Zostaję, Waszej Kr. Mości, dobrym bratem
Napoleon.

Sedan 1 Września 1870 r.

Wilhelm odpowiedział: „Panie mój bracie, przyjmuję Twoją szpadę“.

I d. 2 Września, o godzinie szóstej rano, ta dolina, ciekąca krwią i pokryta zmarłymi, ujrzała przejeżdżający powóz czterokonny, zaprzężony à la Daumont, złożony, odkryty, a w tym powozie człowieka z papierosem w ustach. Był to cesarz Francuzów, jadący na to, ażeby oddać swą szpadę królowi pruskiemu.

Król dał na siebie czekać cesarzowi. Było to bardzo wczesnie. Posłał pana Bismarcka, ażeby powiedział L. Bonaparte, iż „nie chce“ go jeszcze przyjąć. L. Bonaparte wszedł do jakiegoś zabudowania leżącego na drodze. Znajdowała się tam izba ze stołem i dwoma zydlami. Bismarck i on, oparli się łokciami o stół i rozmawiali. Rozmowa grobowa. O godzinie, która się podobała królowi, około południa, cesarz wsiał do powozu i pojechał do zamku Bellevue, na pół drogi do zamku de Vandresse. I tam czekał, dopóki król nie nadjedzie. O pierwszej godzinie, Wilhelm przybył z Vandresse i zgodził się na przyjęcie Bonapartego. Przyjął go źle. Attyla niema lekkiej ręki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się arkusz 28-my powieści pod tytułem: Zamek Daly.

(1) Raport głównego sztabu pruskiego w dziele p. t. „Wojna francuzko-niemiecka z 1870—1871“ str. 1087.

TREŚĆ. Dwaj myśliciele francuzcy z XVIII wieku, (dalszy ciąg), przez S. K. — Połączeni na zawsze, powieść El. Polko, tłum. przez Ewelinę Kłuskowską. — Vanina Ornano, dramat, (dalszy ciąg), przez J. K. S. — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego. — Nowiny paryzkie, (dalszy ciąg). — Historia zbrodni, W. Hugo, (dalszy ciąg), przełożył Edward Lubowski.

Warszawa, — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Юля 1878 года.